

Awanturnik lat 60 i 70. Utalentowany napastnik, który uwielbiał ośmieszanie systemu. Pewny siebie, bezkompromisowy, nietuzinkowy. W Romie występował przez dwa sezony, od 1970 do 1972 roku, rozgrywając w lidze 49 meczów i strzelając 12 bramek. Zapraszam Was dziś na małą wycieczkę w przeszłość i spotkanie z piłkarzem, o którym można powiedzieć wiele, ale na pewno nie to, że był przeciętny.

Pewnego razu... Valcareggi nie uwzględnił go w wyjściowym składzie Verony, a on pojawił się na ławce rezerwowych na stadionie Bentegodi w futrze z lisa i kowbojskim kapeluszu...

„Ale tydzień później Valca już dał mi zagrać.”

Pewnego razu... kazał sobie wyszyć na spodenkach literę Z (jak Zigoni i Zorro).

„Byłem pierwszy. Trzydzieści lat temu nikt tak nie robił. I jak pierwszy zagrałem też w czerwono-żółtych butach. Zawsze byłem wolnym duchem, zawsze byłem sobą, na dobre i na złe. Nie jak dzisiejsi piłkarze, którzy są do siebie podobni jak kserokopie. W tamtych czasach jeździłem Porshe, dziś mają je wszyscy. A więc ja jeżdżę rowerem.”

Pewnego razu... na zgrupowaniu reprezentacji Juniores rzucił bilą do bilarda w Boninsegnę.

„Dopiero co trafił do reprezentacji i sam chciał robić wszystko. Wykonywać rzuty różne, rzuty karne, rzuty wolne i jednocześnie bieg do strzałów głową. Pokazałem mu, kto tu rządzi”. Mało brakowało, żeby trafił w oko Bonimby, który od tej pory trzymał się z daleko od rzutów wolnych i rożnych.

Pewnego razu... pokłócił się z ówczesnym trenerem Juventusu, Heriberto Herrerą. Podniósł go, zawołał drużynę pod okno jego pokoju i trzymał go dyndającego w powietrzu przez kilka minut.

„To on zaczął – uderzył mnie pięścią w brzuch. Oczy zasły mi mgłą. Zasługiwał na nauczkę”.

Pewnego razu... poszedł przedyskutować swój kontrakt z prezesem Verony, Garonzim. Wiedząc, że trzyma on pistolet w szufladzie biurka, poczekał na sprzyjający moment, otworzył szufladę, wziął broń do ręki i w niego wycelował. Wyszedł z gabinetu ze znaczącą podwyżką.

Pewnego razu... w czasie debiutu reprezentacyjnego w Bukareszcie w 1967 roku („Boskie zrządzenie, wszędzie indziej to ja byłem najlepszy...”) zagrał tylko jedną połowę, a po przerwie zdecydował, że lepiej będzie odpocząć.

„Było strasznie gorąco. W drugiej połowie Rivera skrył się w cieniu trybun a inni robili mniej więcej to samo. Dlaczego ja miałbym biegać jako jedyny? – pomyślałem. Byłem wprawdzie debiutantem, ale nie kretynem”. Włochy wygrały, ale Zigo nigdy więcej nie zagrał w błękitnej koszulce.

Pewnego razu... po mecz Lazio-Juve wyszedł na Stadio Olimpico w samych majtkach, bo obrońca, który go krył, nie dając rady go zatrzymać, zsuwał mu spodenki.

„Przy dzisiejszych przepisach, gdyby ktoś próbował zatrzymać Zigo, zobaczyłby czerwoną kartkę po pięciu minutach. Mówią, że kiedyś grało się w zwolnionym tempie? Bzdury. Dzisiaj biegają, bo nie potrafią zrobić nic innego. Nazywają się „piłkarzami”, bo kopią każdą piłkę, która trafi im pod nogi. My byliśmy „graczami”, bo kochaliśmy grać.

Pewnego razu... miał dla Romy wykonywać rzut wolny z linii pola karnego. Udawał, że pokłócił się z Bobem Vierim (ojcem Christiana), którego zaczął szarpać za brodę.

„To był sposób, żeby zdekoncentrować bramkarza”. Nie trzeba chyba dodawać, że wykonał rzut wolny i zdobył bramkę?

Pewnego razu... jego przyjaciel Logozzo protestował, ponieważ na zgrupowaniu cała drużyna musiała wstawać o ósmej, podczas gdy Zigo mógł ostać w łóżku tak długo, jak chciał.

„Valcareggi wziął go na bok i powiedział mu: » Jeśli będziesz miał dwie takie stopy jak Zigoni, będziesz mógł spać nawet do południa«”.

Pewnego razu...jadąc swoim błękitnym Porsche, żeby uniknąć zderzenia z traktorem, zjechał z drogi, obrócił się dwa czy trzy razy i skończył w rowie, niszcząc doszczętnie samochód. On sam nie miał ani zadrapania, a jednak udawał martwego.

„Wracałem do domu po treningu, ale jechałem powoli, przysięgam. Za mną byli Maddè i Costa, lekarz Verony. Wyszli ze swoich aut i przybiegli, żeby udzielić mi pomocy. Oparłem głowę na kierownicy i udawałem martwego. Kiedy przybiegli do okna, uśmiechnąłem się i puściłem im oczko. Mało brakowało, żeby eksplodowali ze złości”.

Pewnego razu... rozmarzył się, że umrze na boisku w koszulce Verony.

„Wyobrażałem sobie tytuły w gazetach i zbieranie podpisów pod petycją, żeby stadion zmienił nazwę i jego patronem był Gianfranco Zigoni a nie Bentegodi. W radiu mówiliby: »Wybacz, Ameri, nadajemy teraz ze stadionu Zigoni w Weronie...«”.

Pewnego razu... w czasie meczu Verona-Vincenza, towarzyskiego spotkania na zakończenie sezonu (w szeregach rywali grał Vendrame – co za mecz!), obudziwszy się nagle z otępienia, dryblingiem minął 4 rywali i wpakował piękną piłkę tuż pod spojenie bramki. Następnie udał się do szatni, choć do końca meczu zostało 20 minut. Efekt? Ostatnie 20 minut rozegrano w absolutnej ciszy, ponieważ publiczność dosłownie opuściła stadion, kiedy jej idol zdecydował się zejść z boiska.

Pewnego razu... obejrzał się za siebie.

„Byłem szczęściarzem. Świetnie się bawiłem. Niczego nie żałuję wszystko zrobiłbym ponownie. Grałem w piłkę przez dwadzieścia lat i wszędzie mnie kochano. Dobrze mi ze sobą i to jest najważniejsze. Teraz uczę dzieci grać w piłkę w szkółce piłkarskiej w Opitergina”.

Pewnego razu... powiedział: „Jestem białym Pele. A piękne jest to, że każdy w końcu tak myśli. Ja pierwszy...”

Autor tekstu: Sebastiano Vernazza

A tak o Zigonim pisał TONINO CAGNUCCI

Zigoni - poeta piłki. Wygrał z Juve, płakał za Romą

„Scudetto? A więc chciałbyś odejść z Romy, żeby wygrać scudetto? Naprawdę istnieją tacy ludzie? Ja płakałem jak dziecko, kiedy odchodziłem z Romy. A odchodząc z Juve, byłem szczęśliwy, ponieważ tam obcięli mi włosy, a poetom włosów się nie obcina”. Powiedział mi to Gianfranco Zigoni kilka lat temu, nawiązując - tak mi się wydaje - do Cassano. Gianfranco Zigoni zawsze był poetą piłki, należał to rasy wyklętych razem z tymi wszystkimi piłkarzami-albatrosami, którzy mają gigantyczne skrzydła, ale nie są w stanie chodzić.

Zigoni wygrał tylko w Turynie z Juventusem, gdzie był uważany za bardzo obiecującego gracza, ale scudetta dla Agnellego go nie interesowały. Wolał być wierny sobie, zachować swoje długie włosy, siedzieć na ławce w kowbojskim kapeluszu i futrze, budzić się w południe, najpierw strzelać, żeby potem już nigdy tego nie robić. Pewnego razu trafił kosa i - spojrzawszy mu w oczy - zranił sam siebie, żeby się ukarać, a potem sprzedał wszystkie strzelby, jakie posiadał. Kazał naszyć Z na swoich spodniach i jako pierwszy grał w żółto-czerwonych butach. „Zawsze byłem wolnym duchem. Zawsze byłem sobą, na dobre i na złe. Nie jak dzisiejsi piłkarze, którzy wyglądają, jakby wszyscy wyszli z tej samej fotokopiarki. W tamtych pięknych czasach jeździłem Porsche. Dziś mają je wszyscy. Więc ja jeżdżę rowerem”. Może po to, żeby się trochę opalić, tylko nie za mocno, jak w dniu debiutu z reprezentacją, kiedy wolał zejść z boiska, bo było zbyt gorąco. W cienkim kowbojskim pasie - ale bez pistoletu - chodził na treningi. Albo siadał na ławce, ponieważ był lepszy od innych. Czy raczej po prostu inny. Uważał się za mocniejszego od Pele, prawdopodobnie dalej tak myśli. Kiedy Roma grała z Santos pomyślał „teraz pokażę to całemu światu”, ale potem zobaczył Pele i zmienił zdanie. „Zdecydowałem się zerwać z piłką, ponieważ znalazłem kogoś lepszego ode mnie”. Nie zrobił tego jednak, ponieważ Ginulfi obronił karnego wykonywanego przez Króla „i zrozumiałem, że nawet on był człowiekiem”.

Niezależnie od paradoksów, wygłupów, szaleństw tego piłkarskiego dandysa - a może właśnie z ich powodu - Gianfranco Zigoni był przede wszystkim prawdziwym mistrzem człowieczeństwa, który związał się na zawsze z dwoma światami - Romą i Veroną - z tego samego powodu: „z powodu ludzi i pasji”. Do Hellas trafił z Romy, kiedy to wolałby umrzeć niż odejść, i został tam, mówiąc „nie” milionom Fraizzolego i scudettom do wygrania z Interem. „Marzyłem, żeby umrzeć na boisku w koszulce Verony. Ludzie mnie kochali. Rozumiesz? Jak mógłbym ich zdradzić?” Bardzo dobrze rozumiem. I dlatego zawsze warto opowiedzieć ludziom kawałek boskiego Zigo.

I na koniec garść faktów:

Gianfranco Zigoni w lecie 1961 roku trafił do młodzieżowego sektora Juventus. W

Serie A zadebiutował 10.12.1961 roku w wieku 17 lat i 15 dni w meczu Udinese-Juvene 2-1. W Juventusie został do 1964 roku, a potem trafił na dwa lata do Genoi (1964-66), gdzie stał się idolem kibiców – 8 goli w Serie A i 8 goli w B. W 1966 roku wrócił do Turynu – wygrał scudetto w 1967 i został do 1970 roku. W sumie w biało-czarnych barwach zaliczył 86 występów i 23 bramki w Serie A.

W Romie występował przez dwa sezony, od 1970 do 1972 roku, rozgrywając w lidze 49 meczów i strzelając 12 bramek. W 1972 roku wrócił na północ. Trafił do Werony. Jego bilans w barwach gialloblu to 106 spotkań i 20 bramek w Serie A, 33 występy i 9 trafień w Serie B.

Piłkarską karierę zakończył w Brescii, z którą zagrał dwa lata w Serie B (1978-1980; 40 meczów, 4 gole).

W reprezentacji Zigo-gol wystąpił tylko raz, 25.06.1967 w meczu Rumunia-Włochy 0-1 rozegranym w Bukareszcie w ramach kwalifikacji do Euro 1968.

Autor: kaisa